

PIOTR ŚLIWIŃSKI

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (PL)

<https://orcid.org/0000-0001-9248-7626>

Dobroć, miłosierdzie? Miejsce „starej wrażliwości” w poezji najnowszej

Goodness, mercy? The place of the “old sensibility” in the
newest poetry

Abstract

The article deals with goodness (and mercy motivated by it) as a quality present in a modern poem and manifesting itself in the world through the poem. The author discusses overt and hidden filiations between poetry and kindness (and mercy as the practice of kindness), situating his considerations against the background of key contemporary strategies of thinking about, and practicing poetry.

Keywords: goodness; poetry; mercy; tears; nihilism; anthropology

Abstrakt

Artykuł dotyczy dobroci (i motywowanego nią miłosierdzia) jako jakości uobecniającej się w nowoczesnym wierszu i poprzez wiersz manifestującej się w świecie. Autor omawia zagadnienie jawnych i ukrytych filiacji pomiędzy poezją i dobrocią (oraz miłosierdziem jako praktykowaniem dobroci), sytuując swoje rozważania na tle kluczowych współczesnych strategii myślenia o poezji i jej uprawiania.

Słowa kluczowe: dobroć; poezja; miłosierdzie; łzy; nihilizm; antropologia

O autorze

Piotr Śliwiński – profesor nauk humanistycznych, krytyk i historyk literatury, wykłada na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor i współautor dziesięciu książek o literaturze XX wieku i współczesnej; inicjator i redaktor dwudziestu książek na temat poezji. Kurator festiwalu Poznań Poetów, przewodniczący kapituły Poznańskiej Nagrody Literackiej. Ostatnio wydał antologię poetycką *Wolny wybór. Stulecie wierszy 1918–2018* (2018) oraz *Dyskursy, w dyskursach. Szkice o krytyce i literaturze lat ostatnich* (2019)..

Dobroć, miłosierdzie? Miejsce „starej wrażliwości” w poezji najnowszej

Miłosierdzie należy do was...
(Marcin Świetlicki)

1.

Na początek parę koniecznych wyjaśnień.

Zamiast pisać o empatii i gościnności, tematach modnych, chcę poszukać przykładów dobroci i miłosierdzia, które pod pewnymi względami zdają się poprzedzać i mocować wszystko, co między ludźmi – w dodatnim sensie – ludzkie. Przy tym większą wagę przywiązuję do zamiaru niż efektu, ponieważ nie trzeba przeprowadzać wielkiej kwerendy, by wiedzieć, że zarówno dobroć, jak i miłosierdzie to nie są słowa częste we współczesnej liryce. Spróbuję też nie utonąć w oceanie filozoficznych, teologicznych, etycznych czy kaznodziejskich dyskusji na temat skomplikowanej natury obu wartości, poprzestając na wskazaniu zaledwie dwóch nieprzedawnionych, jak sądzę, wzorów myślenia o nich.

O dobroci proponuję myśleć w ślad za Emmanuelem Levinasem, który zaprojektował jej sens skrajnie niedziśniejszy, wymagający bezinteresownego poświęcenia, lecz jednocześnie oparty na doświadczeniu ciemnych stron nowoczesności. Jak pisał Józef Tischner:

myśl Levinasa przybiera kształt „biblijnie udratyzowanego platonizmu”. [...] Levinas zawdzięcza wiele Platonowi, ale i Platon Levinasowi. Łączy ich głębokie przekonanie, że to nie byt jest zasadą dobra, lecz dobro zasadą bytu, dzieli – podstawowa wizja dramatu ludzkiego. Pod piórem Levinasa dobro traci swój abstrakcyjny charakter, przybierając postać twarzy sieroty, wdowy, obcokrajowca. W spotkaniu z biedą, pytaniem istotnym staje się nie to, gdzie i jak może człowiek znaleźć swe szczęście, ale to, jak jest możliwe poświęcenie własnego szczęścia dla ocalenia bliźniego. Odpowiedź kryje się w całym logosie dobra. Działanie dobra budzi i drażni dobroć człowieka. Człowiek „chce” być dobry. W „chcieniu” tym, czyli pragnieniu, nie ma żadnego interesu. Nawet przeciwnie. Być dobrym, znaczy: czynić to, co dobre. Ale żaden dobry uczynek nie jest w stanie ani wyrazić, ani nasycić pragnienia dobroci. On je

tylko pogłębia, prowadząc aż do mesjanicznej ofiary z życia¹.

Tak zdefiniowania dobroć nie jest więc rozwiązaniem żadnego problemu, włącznie z „pragnieniem” samej siebie, do niczego się nie przydaje, nie funduje oparcia, nie można na niej zbudować wewnętrznego spokoju, o poczuciu moralnej satysfakcji, a tym bardziej poczuciu wyższości nie wspominając. Jest wyjściem poza granice wszelkiej celowości, wszelkiego użytku, rzecz by można – jak poeta. A przynajmniej jak poeta dzisiaj, która chociaż w większej części czuje się wyproszona ze świata i pozbawiona dawnego znaczenia, to nadal widzi swe miejsce pośród imponderabilii.

Sens miłosierdzia biorę od Gianniego Vattima. To sens do dyskusji, antydogmatyczny, demokratyczny i adekwatny do wielokulturowej natury współczesności. Demaskuje instytucje religijne, które szafując etycznymi racjami, w rzeczywistości służą głównie zachowaniu własnej pozycji i władzy, posługują się przemocą, dyskryminują i narzucają fałszywie uniwersalne prawdy:

we współczesnym świecie, zwłaszcza zaś na uprzemysłowanym Zachodzie, religia jako instytucja stała się czynnikiem konfliktotwórczym i stanowi przeszkodę w drodze do „zbawienia”, cokolwiek by ono oznaczało. Chciałbym tu podkreślić, że mówię o śmierci religii w tym sensie, w którym zgadzam się z ogłoszeniem przez Nietzschego śmierci Boga. Religia, która umarła, to religia – instytucja, religia, która miała potężny wpływ na rozwój cywilizacji, ale ostatecznie stała się dla tego rozwoju przeszkodą. [...] W Piśmie Świętym, jak również u świętego Augustyna można znaleźć podstawy uprawniające nas do powiedzenia, że spośród wszystkich cnót chrześcijańskich wiecznie trwa jedynie miłosierdzie, z pewnością nie wiara w któreś z twierdzeń dotyczących Boga, człowieka czy kosmosu².

Miłosierdzie byłoby więc dowodem na istnienie Boga, jedynym wiarygodnym, gdyż nieskończenie wielokrotnym, za każdym swym zaistnieniem – innym; nie Boga moralnego czy metafizycznego, lecz obecnego w wolnych od przemocy stosunkach między ludźmi. Jak wiadomo, dla turyńskiego filozofa, podobnie jak dla jego przyjaciela i współautora jednej z książek, Richarda Rorty’ego, uprzywilejowanym, szczególnie żywym obszarem przejawiania się tych stosunków były literatura i sztuka.

2.

Inspirowany przez Levinasa i Vattima, nie zamierzam zajmować się ani tak zwaną poezją religijną, ani tak zwanym postsekularyzmem w poezji współczesnej. Wiąże się z tym ryzyko popadnięcia w kłopotliwą nieokreśloność przedmiotu i własnych poszukiwań, uwięźnięcia w kręgu sentymentów moralnych i emocjonalności, które niczym jakiś enzym rozkładają estetyczną świadomość tego, czym

jest pisanie wierszy. Wreszcie hermeneutyczny radykalizm obu filozofów mógłby zostać zastąpiony przez hermeneutykę naiwną, poświęcającą się adorowaniu liryki czułych, lecz rozmemlanych intencji, pozbawioną treści intelektualnych, społecznego interesu i politycznych ambicji, bez programu, projektu i jakiegokolwiek woli, w ironicznym skrócie – poezji ze szkoły Andrzeja Franaszka.

Chodzi o bodaj ostatnią rzeczowistą polemikę literacką w Polsce, wywołaną szkicem opublikowanym w 2014 roku na łamach „Gazety Wyborczej” przez Andrzeja Franaszka³. Krytyk poezji i biograf poetów wystąpił przeciwko hermetyzmowi poezji lingwistycznej, a w interesie wierszy dążących do nawiązania kontaktu z odbiorcą na gruncie wspólnych przeżyć, lęków i emocji. W centrum stała komunikacja, dla jednych – problem teoretyczny, metajęzykowy, dla innych – praktykowany sposób bycia w świecie:

chwila, gdy utwór otwiera drogę łzom, daje świadectwo sensu istnienia literatury. Możemy wtedy poczuć czysty zachwyt wobec piękna, które choć odrobinę równoważy człowieczą podłość, sprawność oprawców, spokojne sumienie funkcjonariuszy zła. Doświadczyć łączności z innym człowiekiem, bohaterem czy autorem wiersza, przeżyć rozbłysk współczucia unieważniającego osobność. I wreszcie odnaleźć w tekście siebie – swój ból, tęsknotę, żalobę, gasnącą nadzieję, choć raczej nie wzbierające szczęście, gdyż ono zda się samowystarczalne. [...] Nie tylko umieranie, także inne życiowe perypetie jest nam łatwiej znieść w towarzystwie zapisanego w poezji bliźniego. Szkoda tylko, że nie każdy wiersz chce nas usłyszeć, otworzyć się na nasze nawoływanie, być bramą, miejscem spotkania, a nie kamienną nieprzenikliwą kostką. Bardzo wiele spośród powstających dziś w Polsce utworów poetyckich takiego spotkania z czytelnikiem, dopuszczenia go do siebie, najwyraźniej się boi czy też programowo nie chce⁴.

Rozumowaniu Franaszka wytykano różne słabości, niekompletność obrazu dzisiejszej poezji (Julia Fiedorczyk), anachroniczność wyobrażeń języka poetyckiego (Marek Zaleski), oparcie się na niechlujnie wysłowionych przesłankach światopoglądowych (Sabina Misiarz-Filipek), pojawiły się także posądzenia o prywatną interesowność (Marcin Senddecki), jednak najciekawsza okazała się kolektywna reakcja trzech uniwersyteckich krytyczek, Anny Kałuży, Joanny Orskiej i Aliny Świeściak, które z argumentów merytorycznych właściwie zrezygnowały, poprzestając na zakwestionowaniu zawodowych kompetencji autora szkicu *Poezja jak bluza z kapturem*⁵: „Nie wchodzimy [...] w polemikę z Andrzejem Franaszką. Nie robimy tego również dlatego, że nie byłaby to polemika z krytykiem, tylko ze sformatowanym zestawem politycznie czynnych frazesów”. Dalej następuje szereg epitetów pod adresem elukubracji popełnionej przez kolegę po fachu („demagogiczny”, „tani”, „bałamutny”,

„sztampowy”, „obskurancki”, „niewymagający myślenia”, „kastrujący”, mający „znikomą wartość intelektualną”, „wykluczający”, „likwidacyjny”, „pseudokrytyczny”, jak „puste kalorie”) przerywanych przez sceptyczną refleksję na temat stosunku mediów do literatury i wzmaganą systemowej obojętności: „Taka pseudokrytyka – pisały – ma bardzo określone konsekwencje społeczne i polityczne: doskonale usprawiedliwia państwo i jego instytucje w ich polityce ekonomicznej wobec kultury. Eksploatacja kultury staje się dzięki temu łatwiejsza, a pole debaty publicznej zostaje wypłukane z krytyczności i refleksyjności. Różne instytucje wspierania twórców mogą wówczas – i już się to oczywiście dzieje – wielu z nich pomijać”.

Autorki nie skorzystały z okazji, by powiedzieć czytelnikom cokolwiek mądrzejszego o poezji, poza tym i przeciw temu, co niemądrze – ich zdaniem – powiedział Franaszek. Odbiorca winien na słowo uwierzyć, że poezja jest dużo bardziej różnorodna, Franaszek nie zna się na niej, a gazeta czy media w ogóle nie są nią poważnie zainteresowane. Wszelako ochota, by stwierdzić, że odpowiedzią na jeden narcyzm, na jedno wykluczenie, na brak sprecyzowanych kryteriów stał się inny narcyzm, inne wykluczenie i inna nieczytelność kryteriów, przechodzi mi z powodu zakończenia:

Za sprawą tekstów takich jak *Poezja jak bluza z kapturem* sztampa i politykierstwo niczym puste kalorie zaczynają wypełniać media coraz szczelniej. Mogą im się przeciwstawić: rzetelne dziennikarstwo, rzetelna krytyka, rzetelna dyskusja o literaturze, a nie pseudokrytyczna opera mydlana wyśpiewana na wysokim C⁶.

Jak rozumiem, autorkom zależało na podniesieniu znaczenia intelektualnej sumienności, która jest dla nich wartością podstawową, a przy tym nieustannie poniewieraną w polskim dyskursie publicznym. Chciały przedostać się do centrum sterującego opinią społeczną, by zakomunikować niezadowolony z rządzących nią mechanizmów, wysłać sygnał, że widzą postępujące jałowienie refleksji literackiej, wiedzą o zwyrodnieniach debaty, nie godzą się, by uznać te patologie za normę, no i wreszcie zakomunikować, że prawdziwe myślenie gdzieś mimo wszystko się dzieje. Artykuł Franaszka posłużył im za retortę, przykład złych praktyk, po który wolno im było sięgnąć na podstawie posiadanych naukowych certyfikatów. To paradoks instytucjonalizacji będącej dla nich obiektem niezgody, lecz – wobec próby wykazania swej wyższości czy też prawomocności w sposób jedynie retoryczny – również oparciem.

Takie postawienie sprawy może wydać się ironicznym, lecz nie jest. Jest raczej tragicznym. W negatywnym manifestie trzech badaczek zawierają się bowiem pierwiastki desperacji i utopii. Desperackie jest upomnienie się o miejsce dla myśli nieuproszczonej w medium dewastowanym przez rynek, utopijna – intencja odwrócenia tego procesu. Chcąc nie chcąc, autorki wpisywały się w logikę piętnowanego zjawiska. Nie chcąc, jak zastrzegły, „dostarczać «argumentów krytycznych», domagających się odpowie-

dzi”, nieuchronnie stawały się częścią spektaklu, którego treścią jest niby-życie, niby-kultura, niby-polemika.

Dorota Kozicka, w opowieści o sporach dotyczących tak zwanej poezji niezrozumiałej z ostatniego dwudziestopięcioletnia, opowieści, której sprawy tutaj przypominane są niewątpliwie częścią, widzi ten epizod nieco inaczej – w kontekście dążenia do zachowania i rozwinięcia wieloalniskowej, a zatem niedychotomicznej (poezja języka – poezja świata, jak chciał Franaszek) kondycji liryki. Jak pisze, młodsza krytyka chce

mówić nie tyle o poezji, ile o poezjach: „o różnych wzajemnych, praktykach i grach artystycznych, które dotyczą każdej sfery naszego codziennego życia: polityki, egzystencji, technologii, religii, emocji, ekonomii, estetyki etc.” [Kałuża Jankowicz, 2015]. Ta perspektywa bliska jest najmłodszym krytykom, dla których wykluczające dychotomie Franaszka mają niewiele wspólnego z tym, co rzeczywiście dzieje się dzisiaj w młodej poezji⁷.

To prawda, której jednak młodsza (i starsza) krytyka po wielokroć będzie przeczyć.

Po pierwsze, różnorodność nie jest wynalazkiem ostatnich lat, lecz reminiscencją, której obstrukcyjny szkic Franaszka dał ponowne uzasadnienie. Trudno uznać, by w rezultacie kilku głosów przypominających o niej zyskała rzeczywistość lepszą pozycję w wyobrażeniach o poezji współczesnej. Ponadto przypuszczam, że Andrzej Franaszek miał legion zwolenników, którzy przezornie nie stanęli w jego obronie, lecz przecież nie całkiem milczeli. To koleżanki i koledzy z akademii, których nie udało się skłonić do nowej poezji.

Po drugie, opór stawiany medialnemu spektaklowi przez krytykę i poezję zaangażowaną odradza mocne języki i prawdy, a wraz z nimi – dychotomie i wykluczenia.

Wreszcie – przy całej swej nietaktyczności (nietaktowności) esej Franaszka krył w sobie trafne przecucie, iż choćby poezja istniała po nowemu, to powody, dla których istnieje, są stare. Lista tych powodów nie musi być długa: konfesja liryczna (wysłowiona intymność) jako zaproszenie do wejścia w przestrzeń osobistą (gościnność), wrażliwość jako otwarcie na drugiego człowieka (empatia) oraz pragnienie dobra i zdolność do miłosierdzia jako remedium na powszechnie doświadczaną niesprawiedliwość (solidarność).

Zamiast dialogu krytyk napotkał sprzeciw wobec przypisywanej mu anachroniczności i szyderstwo z przypisywanej mu egzaltacji. Jednak paradoks polega na tym, że niezgoda na jego poglądy i kpina z nich przynajmniej częściowo opierają się na tym samym fundamencie, na którym oparł się Franaszek. Za przykład tego paradoksu niech posłuży wiersz jednego z najciekawszych młodszych poetów, Macieja Taranka:

Wiersz dla Andrzeja Franaszka

gdybym mówił językami laptopów i smartfonów,
a człowieczeństwa klasycystów bym nie znał,

byłbym jak #hashtag brzęczący, error 404.
gdybym nawet login do ludzkich umysłów znał,
a przez gąszcz linków, m@lp i ciasteczek
nie przedarł się, byłbym jak hasło
do pustych serc brzmiący: lza01.
poezja wzruszająca jest
dla ludzkich umysłów i serc,
poezja pocieszeniem jest
dla ludzkiego smutku i lez,
poezja wytchnieniem jest
gdy na ludzkość pada deszcz.
poezja jest miłoszem,
gdy byłem miłoszem,
mówiłem jak miłosz,
czułem jak miłosz,
myślałem jak miłosz,
a kochałem jak miłość.
login: miłosc
hasło: lza01⁸

Jeśli wielość zjawisk artystycznych krytyk okiełznał za pomocą upraszczającej dychotomii, to poeta postąpił nieomal tak samo, dzieląc ludzkie doświadczenia na przebrzmiałe ekspresje i poetyckie nowe kody. Zrobił to ironicznie, zgrabnie posługując się mową pozornie zależną, a nawet błyskotliwie, wszelako z nadmierną odległością od adwersarza, obaw z tym samym zacięciem głoszą bowiem swe – co do ich struktury – bliźniaczo podobne, a co do konsekwencji wykluczające się przesłania: „prawie wszystko jest takie, jak zawsze” (Franaszek) i „prawie wszystko jest inne, niż było” (Taranek). Zatem „poezja wzruszająca i pocieszająca” oraz „poezja ciasteczek” w najlepszym razie mogą się nawzajem z siebie naigrawać.

3.

Raz jeszcze – dobroć jest konkretna i jako taka niewyklądana w problematykę teodycei (jak dobro), przenika podziały społeczne i porządki rozumu, nie daje się zawłaszczyć przez różne filozofie, polityczną prawicę, lewicę, poetycką awangardę, klasycyzm (co przekonująco wykazał Bartosz Małczyński⁹), niczego nie chce zadośćuczynić, nie dąży do odkupienia popełnionych grzechów, gdyż wydarza się nie abstrakcyjnie, ale w obliczu twarzy, by nawiązać do Levinasa. Jak pisała Agnieszka Kosińska:

Kategoria dobroci [...] była dla Czesława Miłosza najważniejsza. W całym jego dziele dobroć jest cechą rzadką, rzadko też występuje. Jest też dość tajemniczą cechą daną niektórym, ostateczną instancją. On sam zawsze chwycił się dobroci, kiedy już nic nie pozostawało, nie dobroci Boga (tu wątpił), ale człowieka, i to konkretnego. Zbierał dowody na istnienie Dobra i na jego zwycięstwo, ciche, ale trwałe, co samo w sobie było oczywiście tajemniczą największą¹⁰.

W tej perspektywie „zimne serca lirycznych poetów” czy „nieładki dystans”, o których parokrotnie pisał, odciskają na poezji piętno, uszkadzają ją, choćby i były warunkiem artystycznej skuteczności. Zdają się też rodzajem zmarnowanej szansy, by faktycznie oddzielić poezję od języków władzy i taką – uwolnioną – uczynić ją dla władzy wyzwaniem. W stylu modnej publicystyki zdanie to mogłoby brzmieć na przykład tak: poezja jako społeczny *game changer* byłaby do pomyslenia tylko wtedy, gdyby grała po swojemu, a nie według podanych jej reguł.

Tej szansy nie chciał zaprzepaścić parędziesiąt lat wcześniej Edward Stachura, który podobnie jak Miłosz stawiał dobroć na pierwszym miejscu, lecz – odwrotnie niż Miłosz – nie separował od niej poety: „Wrażliwość, a zwłaszcza wyobraźnia nie są wśród poetów rzadkim zjawiskiem. Dużo rzadszym jest własny, niezapożyczony styl. A coraz rzadszym zjawiskiem wśród poetów, i nie tylko, jest dobroć, bez której w poezji, i nie tylko, nie ma największych osiągnięć. Bo tu nie wystarczy sama inteligencja” – pisał¹¹, dając wyraz swej większej niż Miłoszowa ambicji, by połączyć w wierszach atuty umysłu i – przepraszam za słowo – serca.

W ostatnich dwóch, a nawet trzech dekadach dylematy tego typu utraciły miejsce w dyskusji o literaturze, a samo posądzenie o czułośćkowość stało się niebezpieczną dla poetek i poetów opresją. Częstkową rehabilitację porzuconej wrażliwości przyniosły rozważania Olgi Tokarczuk o zaletach czulego narratora, zresztą nie dotyczący poezji. Tylko kilku autorów poważało się na afirmację dobroci i miłosierdzia bez osłony, bez tematyzowania tych aktów, osadzania w cudzysłowie czy ukrywania między ironiami.

Jarosław Mikołajewski, autor między innymi tomu *Głupie ły* (2019), musi być wymieniony najpierw, ponieważ wiele przemawia za tym, że w jego wierszach owe poszukiwane pierwiastki występują najobficiej. Oczywiście nie są tylko osobistą predyspozycją twórcy, lecz pochodzą z nieco innych tradycji, które poeta przenosi na nasz grunt – z ogólnie znanych przyczyn z mniejszym powodzeniem niż poeci, którzy transmitują tradycje anglosaskie. Jego utwory brzmią więc egzotycznie, rzecz by można, że tandetnie – ale tylko pod warunkiem, że gorliwie wyznajemy zasadę limitowania uczuciowej bezpośredniości. Tylko czy na pewno w poniższym wierszu mamy do czynienia z bezpośredniością, a nie z wyrafinowanym konceptem w Iwaszkiewiczowskim stylu?

pod wenecką koliań moich łez bez znaczenia
świat ogromnie choć jest coraz mniejszy

coraz łatwiej mi widzieć z okna jego koniec

pomyślcie jak dziwnie jest patrzeć na życie
przez szkło co powiększa a teraz pomyślcie
jak stokroć jest dziwniej kiedy szkieł jest tyle
ile ziaren piasku spłądrowanej pustyni

ogromnie nie tylko piękno które wzrusza
ogromnieją też winy i niechciane twarze
których nie chcę oglądać tak jak kiedyś pragnąłem
widzieć własną radość w wypukłości bombki
w ramce z brokatu wokół żółtej szybki
(J. Mikołajewski, *Głupie ły*, z tomu *Głupie ły*, 2019)

Mariusz Grzebalski i Wojciech Bonowicz wystrzegają się nie tyle czułośćkowości, gdyż po prostu nie są czułośćkowi, ile czegoś, co da się chyba określić jako pychę wrażliwości, narcystyczny efekt uboczny wyzwolonych emocji, krzyku, zgromy, oburzenia, gestów mających na celu okazać solidarność. Ta powściągliwość dyscypliny język, wierszowi nadając nieomal hermetyczną zawartość.

Dwie próbki:

Zapach kawy i maślanych ciastek. Uparte słońce nieustannie
wchodzi i wychodzi. *Obrazy Włoch* Muratowa. Wybrane nieprzypadkowo: w tych dniach wielkie dzieła odpoczywają.

Mój uczynek miłosierdzia: pójdę do kota który siedzi sam
przez cały dzień. Jak jeszcze mógłbym pomóc? Najgorsza jest nieobecność. Wszystko inne jest złe ale nie najgorsze.
(W. Bonowicz, *Nieobecność*, z tomu *Wielkie rzeczy*, 2022)

Ale nagle spada śnieg
i rozjaśnia wszystko wokół.

Nie mogę oderwać wzroku
od matki, która całuje syna
w samochodzie stojącym obok.
(M. Grzebalski, *Krótki dzień bez światła*, z tomu *W innych okolicznościach*, 2013)

Drobne zdarzenia, na których zatrzymała się uwaga mówiących w obu wierszach, a których sens i rozumienie nie są podmiotom dane po prostu. U Bonowicza nieobecność drugiej istoty jest tym samym, co ból współdzielony z kotem. Przypomina się etymologia empatii / sympatii, czyli uczestnictwa w cudzym cierpieniu, cudzym, a więc takim, ku któremu należy wyjść, a nawet zostać doń wpuszczonym. W wierszu Bonowicza mówiący „poszedł do kota”, ponieważ warunki rozumienia cudzego cierpienia wystarczająco rozwinęły się w nim samym. Zauważmy jeszcze, że „uczynek miłosierdzia” (określenie autoironiczne oficjalne) rozmywa antropocentryzm i przenika przez granice gatunkowe.

W tekście Grzebalskiego scena bliskości między matką i dzieckiem rewolucjonizuje status i postrzeganie świata (śnieg, jasność, urzeczenie). Dostrzeżona banalność skutkuje epifanią. Najpospolitsza, lecz wreszcie

zobaczona czulość pomaga odzyskać sens życia, emocjonalna pustka wypełnia się, a ciemność ustępuje przed blaskiem. I znowu – w geście naturalnej dobroci kryje się zdolność do dokonania pozytywnej destrukcji rzeczywistości, która dotąd uwięziona w stosunkach i językach władzy, hierarchiach, normach i ceremoniach, teraz otwiera się na jeszcze przed chwilą niewiarygodne możliwości.

Lista autorów, których można byłoby w podobny sposób charakteryzować, jest dłuższa. Znajdują się na niej nazwiska poetek i poetów z różnych pokoleń, reprezentujących różne podejścia do wiersza i odmienny temperament. Maciej Woźniak, Konrad Góra, Łukasz Jarosz, Justyna Bargielska, Krystyna Dąbrowska, Urszula Zajączkowska, Małgorzata Lebda, Urszula Honek, Katarzyna Szweda różnią się poetycko oraz ze względu na swoje estetyczne i filozoficzne zaplecze. Inaczej też demonstrują ów czynnik dobroci, który mnie tutaj interesuje. Jedni robią to prawie otwarcie (Woźniak, Jarosz, Dąbrowska), inni studzą (Zajączkowska, Lebda) lub wplatają w językową materię, kamuflują, osłaniają nagość uczuć (Góra, Bargielska). Jednak wspólne jest im pragnienie zniweczenia struktur władzy, religii, hierarchiczności, normatywności, fundamentów przemocy, oschłości, obojętności, upokorzenia. Tak przedstawiona dobroć nie jest protestem przeciw społecznym instytucjom, lecz – *nolens volens* – ich potencjalną alternatywą. Dobroć i miłosierdzie decentralizują rzeczywistość, znosząc hierarchiczne podziały między ludźmi, a także między ludźmi a naturą.

Są rodzajem silnego zaangażowania, takiego jednak, które – upominając się o ludzkie prawa, z prawem do odczuwania i wyrażania siebie jako bezprecedensowej jednostki – uwzględnia moralną i psychiczną złożoność współczesności, opiera się raczej na intuicji dobra niż na jego religijnym czy społecznym (klasowym, generacyjnym) zdefiniowaniu.

4.

Jednak „miłosierdzie należy do was”, jak pisał Świeżicki w dawnym wierszu, opowiadając się tym razem po stronie retrospektywnej utopii, w której zachowane są reguły postępowania i wyraziste tożsamości, gdzie nieznaną jest *koine*, wspólny język kaprała i podwładnego, utraczonej kochanki i porzuconego mężczyzny. Autor *Zimnych krajów* opowiada się przeciw nihilistycznej dezynwolturze, z rzadka biorąc pod uwagę perspektywę nihilistycznej etyki. Tę perspektywę widać w znakomitych *Uniwersytetach* i – w stanie rozproszenia – w wierszach psych. Jego poezja wyraża anarchistyczny konserwatyzm kontrastujący z szerszym się, jego zdaniem, anarchistycznym nihilizmem z jednej strony oraz politycznym formalizmem z drugiej. Obie negowane strony cechuje groteskowo siebie nieświadomy kolektywizm postaw. Nadziei na ewolucję nihilistycznej moralności nie odczuwa.

Podobnie jak zdecydowana większość dzisiejszej poezji. To, co próbowałem naszkicować, wydaje się bowiem

skażone konwencjonalnością, a nawet oportunistem, mimo że bywa, a w każdym razie mogłoby być jednym z niewielu wiarygodnych indywidualnych etosów; rewolucyjnością bez metafizycznych czy uniwersalnych uroszczeń; praktyką wolnego sumienia. Lecz żeby tak się stało, potrzeba innych poetyckich energii.

Zatem na koniec: nie twierdząc, że Andrzej Franaszek miał rację nadrzędną wobec racji zwolenników poezji hermetycznej czy politycznie zaangażowanej, lecz jedynie, że jego racja jest racją wśród racji, jego zaś prawo do opisywania prywatnych kanonów nie jest gorsze niż nasze. Bo w tej dobroci i łzie jest raczej coś – ze starą dobrą wolnością wyboru spośród racji i postaw na czele – niż nic.

Dobroć i miłosierdzie, które czasami przypominają kamp, a czasami zdają się żenująco nieadekwatne do czasu, są bowiem w swej istocie antydoktrynerskie. Tymczasem upiór doktrynerstwa straszy po – nie tylko poetyckich – zaułkach.

Przypisy

- 1 Józef Tischner, *Śladami Nieskończonego. W kręgu myśli E. Levinasa*, „Analecta Cracoviensia” 1986, t. XVIII, s. 70–71.
- 2 Gianni Vattimo, *Poza interpretacją. Znaczenie hermeneutyki dla filozofii*, przeł. Katarzyna Kasia, Kraków 2012, s. 67.
- 3 Zdaję sobie sprawę, że większość uczestniczek i uczestników dyskusji, która rozpoczęła się publikacją szkicu Andrzeja Franaszka *Dlaczego nikt nie lubi nowej poezji?* („Gazeta Wyborcza”, 21 marca 2014) i trwała przez kilka następnych tygodni, nie podziela opinii o ważności tamtego zdarzenia, upieram się jednak, że z paru powodów jest ono warte uwagi. Po pierwsze, dotknęło splotu sprzecznych motywacji do interesowania się / nieinteresowania poezją współczesną. Po drugie, było spektakularne, toczyło się na stronach, także internetowych, wielkiej gazety, angażując przedstawicieli rozmaitych orientacji estetycznych, pokoleń i nisz kulturowych. Zatem Franaszek, być może nie w pełni świadomie, wywołał pewien ferment. Wspominam o tym także w książce *Niepozorność znaczeń. Szkice i preteksty* (Poznań 2022).
- 4 „Gazeta Wyborcza”, 21 marca 2014.
- 5 Taki tytuł nadano tekstowi w internetowym wydaniu „Gazety Wyborczej”.
- 6 Anna Kałuża, Joanna Orska, Alina Świeściak, *Tych nie lubię, więc są złymi poetami*, „Gazeta Wyborcza”, 11 kwietnia 2014.
- 7 Dorota Kozicka, *Poezja w klimacu (z)rozumienia*, „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka” 2015, t. XXVI, s. 68.
- 8 www.biuro-literackie.pl.
- 9 Por. Bartosz Malczyński, *Służyć dobrej sprawie. Poezja i dobroć we współczesności (prolegomena)*, „Irydion. Literatura – Teatr – Kultura” 2016, t. 2, s. 103–119. Istnienie tego wartościowego szkicu zwalnia mnie z konieczności zajmowania się śladami Norwidowskiej frazy w poezji tak ważnych twórców, jak m.in. Tadeusz Różewicz, Edward Stachura, Anna Świrszczyńska, Stanisław Barańczak, a po części również Czesław Miłosz.
- 10 Agnieszka Kosińska, *Miłosz w Krakowie*, Kraków 2015, s. 496.
- 11 Edward Stachura, *Abyście*, [w:] *Za progiem wyboru*, red. Jerzy Leszin-Koperski, Warszawa 1969, s. 14–15.